

Teksty Drugie 1992, 6 , s. 141-145



Alicja przed lustrem. Rzecz o Gdańsku i prozie Pawła Huelle

Anna Grześkowiak-Krwawicz

Alicja przed lustrem. Rzecz o Gdańsku i prozie Pawła Huelle

Jeżeli otworzysz drzwi naszego salonu, zobaczysz malusiński skrawek korytarza w domu po Drugiej Stronie Lustra i jak głęboko wzrok sięga, jest on bardzo podobny do naszego korytarza, tylko wiesz, tam dalej może być zupełnie inny.

[L. Carroll *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*]

Czy najbliższe otoczenie, znane od dzieciństwa miejsca i przedmioty mogą jednocześnie fascynować swoją obcością? Mimo swej bliskości pozostawać poza nieprzekraczalną granicą tajemniczości? Okazuje się, że tak. Coś takiego przydarzyło się Pawłowi Huelle. A może inaczej, przydarzyło się całemu pokoleniu urodzonemu w Gdańsku w kilka, czy kilkanaście lat po wojnie, a jedynie autor *Weisera Dawidka* potrafił to opisać.

¹⁷ F. Varillon *Radość wiary, radość życia*, Kraków 1988, s. 296.

Dla naszych rodziców, bo i ja pochodzę z Gdańska, przybyłych najczęściej z Buga, to miasto było po prostu obce, może nawet wrogie. Zamieszkali tu przecież z konieczności, nie z wyboru. Część z nich nigdy go nie zaakceptowała, prawdziwy, rzeczywisty świat pozostał tam, skąd musieli odjechać. Był to odległy i coraz idealniejszy świat „przed wojną”. Ale tym czym dla nich były Wały Hetmańskie, Pohulanka, Łyczaków, dla nas miały się stać Jaškowa Dolina, park w Oliwie, Srebrzysko. Miały, ale nie całkiem. Tam otaczający człowieka świat był tym czym był, a zetknięcie z przeszłością oznaczało po prostu spojrzenie w odwróconą lornetkę, która oddala przedmioty, ale nie zmienia ich kształtu. Tymczasem w Gdańsku był to kontakt z czymś obcym i niezrozumiałym, a przez to pobudzającym wyobraźnię. Nie chodzi tu (lub tylko w niewielkim stopniu), o historię przez duże H, o wielowiekowe zabytki Starówki, ale o przeszłość niedaleką, obecną codziennie w najbliższym otoczeniu, na ulicach własnej dzielnicy, we własnym domu. Jeżeli wie się „od zawsze”, że kuta lampa pod sufitem to jeszcze po właścicielu domu, a meble też poniemieckie, to własne mieszkanie zaczyna być trochę obce i jak Pan Polaske w opowiadaniu *Stół* pojawia się w nim ów właściciel — Niemiec. Ale właściwie kto to taki Niemiec? Przede wszystkim, i to trzeba od razu powiedzieć, nie miał on nic wspólnego z tymi, którzy rozpętali wojnę, o których ze zgrozą wspominali dorośli i przeciw którym „stali jak mur” żołnierze z Westerplatte, o czym z przejęciem deklamowaliśmy na szkolnych akademiach. „Nasz” Niemiec był obcym, ale nie wrogiem. Był (choć go przecież nie było) tym, który znał właściwy kształt rzeczy. W powieści Huellego taką rolę pełni tytułowy bohater, obdarzony nadprzyrodzonymi własnościami i nadprzyrodzoną wiedzą, tajemniczy i nieuchwytny, znikający w końcu, nie tylko z rzeczywistości, ale i ze wspomnień. Dla mnie był to jednak Niemiec, ile to razy słyszało się formułę „za Niemców”. Za Niemca ten ogród wyglądał zupełnie inaczej, Niemiec miał tu oranżerię, za Niemców stała tu figura Gutenberga, a tu był cmentarz. Ten świat „za Niemców”, pociągał swoją niedostępnością. Nic dziwnego, że narratorowi *Weisera Dawidka* śni się jazda kolejką do Kokoszek. Cóż może być lepszym symbolem obecności nieobecnego świata niż przecinający miasto i przedmieścia nasyp kolejki dojazdowej, która nigdy już nie miała wyjechać na trasę, bo nie opłacało się odbudowywać wysadzonych w powietrze wiaduktów. Widzisz — mawiał mój ojciec — tędy w sobotę i niedzielę jeżdżono na piknik. A ja zafascynowana stałam na niepotrzebnym już nikomu mostku i prawie widziałam jadący z Zasy pociąg, prawie...

Nie wszystko, co było „za Niemców”, czy „przed wojną” przestało istnieć, ale okazywało się, że rzeczywistość została zafałszowana, rzeczy zmieniły przeznaczenie — nie były tym czym były naprawdę. Szkoła

okazywała się szpitalem wojskowym, opera halą sportową i nagle miało się wrażenie, że żyje się w nieprawdziwym świecie. Jakoś zawsze tamten niedostępny wydawał się tym właściwym, a nasz jedynie jego zniekształceniem, czasem wręcz karykaturą. W którymś momencie zaczynało się to zmieniać w grę z rzeczywistością — co tu było n a p r a w d ę, czym to lub to było n a p r a w d ę. Grę, której podstawowym założeniem było, że prawdziwa rzeczywistość jest inna od dostrzegalnej, lecz nieuchwytna. Grę tę ułatwiała nam szkoła, w której uczono nas tylko o walkach mieszkańców prapolskiego Gdańska z Krzyżakami, a potem dopiero o obronie Westerplatte. Ani jedno, ani drugie nie miało dla nas praktycznie żadnego związku z otaczającą nas rzeczywistością i nie przeszkadzało w zabawie, której nadmiar autentycznych faktów odebrały całą tajemniczość. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej byliśmy zdani na siebie i na wrywkowe i przypadkowe wiadomości rodziców.

Jeszcze jedną barierą, która odgradzała nas od przeszłości był jej język, który choć niezrozumiały, towarzyszył nam stale. Również i w tym dawni mieszkańcy zdawali się jakoś obecni, choć znów oddzieleni taflą lustra. Jak pokazuje opowiadanie *Przeprowadzka* nawet prawdziwe spotkanie nie pozwoliło przekroczyć jej do końca. Niemieckie napisy były wszędzie, stały się czymś oczywistym. Pamiętam, że kiedy w krakowskim mieszkaniu krewnych zobaczyłam na kurkach w łazience słowa „ciepła, zimna”, zamiast „kalt i warm” wydało mi się to czymś nie tylko dziwnym, ale wręcz gorszącym. Ich naga dosłowność była niemal nieprzyzwoita, a przy tym zbędna. Co innego tamte obce słowa, czy inne na szufladach w kredensie — Mehl, Kümmel, Salz. One były konieczne i niewątpliwie miały znaczenie niemal magiczne — prawdziwe nazwy jakie nosiły przedmioty w tamtej, nieosiągalnej rzeczywistości. Kto z centralnej Polski może zrozumieć, co znaczy świadomość, że wszystkie miejsca, w których się przebywa, począwszy od własnej ulicy, mają inne dziwne nazwy. Już nie Jaškowa Dolina, tylko Jeschkentall, nie Sobótki tylko Johannisberg. I codziennym spacerom zaczyna towarzyszyć kolejne pytanie — jak nazywał się ten plac, a tamten zaułek? I znowu zmieniało się to w pochłaniającą i coraz bardziej wciągającą zabawę. Oto w otaczającym Gdańsk lesie bezimienne wzgórze, ale na przewróconym kamieniu jest napis Hevelius Höhe — i oto wspaniałe uczucie, że posiadało się tajemnicę, stało na progu nieznanego. Dawno już nie ma tego kamienia, ani tego kto przeczytał mi i przetłumaczył napis, ale wciąż odczuwam tamto podniecenie, kiedy zdarzy mi się wspinać, nie, nie na Wzgórze Heweliusza, na Hevelius Höhe i rozumiem, czemu wyprawa z Dawidkiem Weiserem Lasami Oliwskimi nie była tylko zwykłą wycieczką. Że tęsknota za zaginionym światem towarzyszy nie tylko dzieciom, a zarazem, że nie ma sposobu, by go przywrócić,

udowodnili ostatnio szacowni radni miasta Gdańska, zmieniając nazwę jednej z ulic na Do studzienki. Tak, tak, ta ulica nazywała się Heiligenbrunnenweg i rzeczywiście wiodła do świętego źródła. Tylko, że granicy lustra przekroczyć nie można tak łatwo — zamiast studzienki jest wytwórnia wód gazowanych, a nazwa nic już nikomu nie mówi.

Chyba nigdzie poza Gdańskiem nie miałam tak silnego wrażenia, że miasto ma własną mowę. Na napisy we własnym języku nie zwraca się na ogół uwagi, najwyżej na ich treść. Ale to był inny obcy, a jednocześnie bardzo codzienny język. Pojawiał się, często na przekór nowym mieszkańcom, przebijał napisem spod farby, fragmentem słowa wyłaniającym się po odpadnięciu tynku, datą i nazwą firmy na kratce ściekowej, czy płytce chodnika. Teraz takich napisów jest o wiele mniej, ale w latach sześćdziesiątych, gdy byliśmy dziećmi, spotykało się je co krok. Były takie miejsca, gdzie, do czasu, nie walczyli z nimi i dorośli — cmentarze. Szczególnie piękny był największy z nich, nieistniejący dziś cmentarz przy łączącej centrum Gdańska z Wrzeszczem lipowej alei zwanej Aleją Zwycięstwa. Cmentarze, szczególnie stare, są zawsze łącznikami z przeszłością, paradoksalnie najbardziej tutaj żywą. Tak było i w tym wypadku, a atmosfera opuszczenia wzmagala wrażenie, że przekroczyło się granice codzienności. Codzienności tak, ale i tutaj przeszłość zamykała się i broniła przed intruzem. Można było oglądać nagrobki, inne, okazalsze niż te, które widziało się w Zaduszki na powojennym już Srebrzysku, ale przed poznaniem do końca ich historii chroniła je znów bariera języka. Nie tylko niezrozumiałego, ale często nieczytelnego, bo pisanego gotykiem. Mimo to, tu właśnie najbliższy wydawał się tajemniczy świat z tamtej strony lustra.

Świat, którego ślady tropiliśmy, a niektórzy z nas tropią do dziś, już teraz fachowo, z uwagą archeologa na gruzach Pompei. Ale w ten sposób nie można go odtworzyć. Prawdziwą wiedzę o Pompei miał tylko jej mieszkaniec, może jeszcze urodzony na wygnaniu jego syn, nie archeolog. Tylko Alicja mogła poznać obie strony lustra. Nam dana jest jedna lub druga. Z tej drugiej znalazłam się tylko raz, ale nie w Gdańsku, we Lwowie. Tam to ja znałam prawdziwy kształt rzeczywistości i właściwe nazwy. Do mnie mówiły zrozumiałe napisy z przeszłości, szłam ulicą Kazimierzowską do Wałów Hetmańskich, na miejscu szop i ruder widziałam Cmentarz Orłąt. Ale to był Lwów mojego ojca, miasto istniejące już tylko w kraju pamięci. Taki Gdańsk (realniejszy bo z własnych wspomnień) znał Günter Grass. Dlatego wszelkie, czynione już próby porównania jego książek z prozą Huellego są ogromnym nieporozumieniem (krzywdzącym obu autorów), opartym na jakże powierzchownej i zwodniczej zbieżności miejsca akcji. Zbieżności zresztą pozornej, Grass opisuje Gdańsk znany, ale utracony.

Huelle własny, ale nie zdobyty do końca, broniący się przed poznaniem, bliski w swej obcości, Gdańsk, którego też już chyba nie ma. Znikają ostatnie niezrozumiałe napisy, nikt już nie pamięta, co tu czy tam było za Niemców. Dla naszych dzieci przeszłość Gdańska to Grudzień i Solidarność, a nie Wolne Miasto i wojna. To dobrze, ale dobrze też, że ktoś opisał nasz Gdańsk.

Anna Grześkowiak-Krwawicz